

Fragment powieści

Historia, jak panienka, chciałaby uchodzić za cnotliwą. Czyni więc starania, by wiele przemilczeć. I to, jak panience, nie bardzo jej się udaje. Obie nie są stworzone dla cnoty, nie są też dla milczenia. Cnotliwa, milcząca panienka — to dopiero historia. Najbardziej godne współczucia są sny adoratorów.

Trudne, beznadziejne było lato czterdziestego drugiego. Jakby kto piołun ssał. Zwycięzcy nie podziwiali lata, zajęci byli zwyciężaniem, mającym dobry wpływ na szybki obieg krwi. Łzawe listy do matek zaczęły pisywać jesienią. Matki nie są od tego, by podziwiać zwycięzców. Od tego są, by koić przegranych.

Z zakurzonego kaspijskiego portu Krasnowodsk, śmierdzącego rybą i rozpaczą, odbijały beznadziejne transporty z pozbawioną broni i nadziei armią, która nigdy armią nie została. Gdy odbił ostatni transport, ujawnił się dezterter. Podpułkownik, szef sztabu dywizji. Inni dezterterowie w tej sprawie nie występują.

Śmiesznie pomyśleć, że podpułkownik — dezterter pierwszy, z własnej woli trafił na front. I najkrótszą drogą powrócił do kraju. Widać, zapamiętał trochę ze szkolnej geografii. Szkolna wystarczyła. Inni, którym geografia pomieszała się z polityką, zostali klientami osobliwego biura, Polish Militant Cook Office, War-time. Siedziba — Londyn, Hotel Rubens.

Cezar na białym koniu nie rzekę przekroczył, ale Zgniłe Morze. Biały koń z legendy był szyderyczym darem barbarzyńcy. Jadąc przez Via Aurelia jak zwyczajny turysta, cesarz połapał się, że chodzi o inną stolicę.

Lato owego roku było piękne, chociaż beznadziejne. Nie rezygnowało z uroków. I wiele, wiele grzechów popełniono owego lata. Jak to na wojnie, prawie wszystkie grzechy były śmiertelne. Cnoty też, bez wyjątku.

Lilli Marleen z latarnią koloru krwi nie zaliczała się do grzechów.

Potem nastąpił przełom. Wielka Zmiana Warty. To może bardzo dziwne, choć jednak prawdziwe. Im dłużej o tym myśleć, tym ubywa zdziwienia, tym więcej widać prawdy. Ale przychodzi chwila, że już się nie chce myśleć, że tej prawdy za dużo.

Czy zejście z posterunku to jest ciężki grzech? Może to zasługa? Może zależy od tego, czego się pilnuje? Od tego, kto ustawił? Gdy wbrew rozkazowi, bez wiedzy dowódcy warty, sam rozprowadzający zwinie posterunek — ma o nim milczeć historia, czy krzyczyć sąd polowy?

Fraucymer i sodalicja formowały beznadziejną armię, która nie została armią. Do Buzułuku i Krasnowodsk nie wszyscy zdołali dotrzeć.

Więc potem przyszli ci, którzy jedno opium zastępowali drugim. Hartowani, twardzi. Zjawili się po przełomie, już w czterdziestym trzecim. Ten rok powołał ich do życia, chociaż ich nie zrodził. Historia zrobiła im miejsce, następnie wyparła się tego.

Brak cnoty bywa ogólnie znany, nigdy nie udowodniony. Trudno udowodnić, że coś nie istnieje.

Znaczenia przypadku w historii nauka nie rozstrzygnęła. Klientów biura podróży skierowano pod palmy, bo ziemia okrągła i czym dalej, tym bliżej. Wojna polega na tym, że się nosi broń, szelki i akselbanty. Strzelanie do wroga wcale nie jest konieczne.

Czerwone maki, później cezara wykreowały na wodza. Wodza jednej bitwy i wielu skrwawionych batalionów. Legendy powstają z nadmiaru krwi w okopach i braku zasług w sztabach. Im więcej krwi, mniej zasług, tym bardziej uporczywa legenda. Dzieje Pierwszej Pancерnej legendą się nie stały. Zasługi sztabów polegają na tym, by krwi w okopach było jak najmniej.

To był ważny rok, czterdziesty trzeci. Pierwsze gwiazdki na pagonach, pierwszy pluton w garści. Pluton! Wtedy się zdawało, że wszystko jest po raz pierwszy, że cały świat i życie dopiero się zaczynają. Że tego, co było przedtem, w ogóle, wcale nie było.

Zbornych obozów za drutami, bydłych wagonów, strojbatów pod bombami, kotłów

wędrujących po stepie, rozbijanych i wciąż nie rozbitych. Końskiego ścierwa w brzuchu, wron pieczonych w popiele. Nie było, niczego nie było!

Pierwszy pluton to jak pierwsza dziewczyna w tańcu, o której wiesz, że jest, że będzie twoją - wydaje ci się, że na całe życie. Idziesz z nią jak opętany, w noc i miłość, w życie i śmierć. Bywa, że nie masz czasu się zbudzić. Kula nie budzi — usypia.

Dowódcą kompanii był ruski Hiszpan, Ruiz. Kochał Tatianę tak samo jak Oniegin i tak samo był smutny. Miał pękniętą gitarę, serce też pęknięte. „El novio de la muerte” — śpiewał wieczorami. To było przed bitwą.

Pierwszy pluton w natarciu. Gdy huk niebo rozświetlił, piachem salw zgrzytnął w zębach, znów poczuł się żołnierzem i poszedł jak inni, nawet nieco z przodu, od tego był dowódcą. Opętanie sprawiło, że zapomniał się bać. Przedtem pamiętał. Znał humor sojuszników, wiedział — prawdą żartują. Dla dowódcy plutonu na froncie — trzy tygodnie życia. Całe dwadzieścia dni! Dwudziesty pierwszy pozostaje w rezerwie. Na pogrzeb lub drogę do szpitala. Czasem się poszczęści.

Samej bitwy właściwie nie spamiętał. Kilka dni bałaganu. Rzeczka, za rzeczką wieś, potem bagnista łąka. Może łąka najpierw. W powietrzu pszczoły gorące. Chałupy wylatują w górę, rozsypują się w locie. Biel ustępuje miejsca najczarniejszej czerwieni. Po rozwierzganym polu tu i tam pełgają ogieńki, niby gromada oszalałych krasnali. Przybiegają łącznicy. Naprzód, tylko naprzód. Czy wydawał w ogóle jakieś rozkazy?

Brzeźniak po prawej, lewej, bateria rozstrzeliwana przez czołgi. Bateria znikła, połowa czołgów kopciła kolorowo. Nagłe krzaczki koło nich to były wybuchy. Kaliber taki, że czołgi się wywracały, nawet nie trafione. Nie czekały trafienia. Zabity zając pod brzoźką, łapkami się trzymał za głowę: ludzie, co wy robicie?

I ta euforia: do diabła z karabinami — panc! Mamy teraz armaty niby wawelskie smoki. Pancerne siedemdziesiątki szóstki, osiemdziesiątki piątki — nawet w szykach piechoty. I najważniejsze: my atakujemy. Nareszcie my. Lepiej albo gorzej, nareszcie my. Więc naprzód, naprzód, ura.

Nie wszystko było takie, że naprzód, że ura. Bo życie stało się wtedy tak jakby podwójne, dwoiste. Inny sens w boju, inny na zapleczu. O tym się nie mówiło, to się wiedziało. Żołnierz, jak czajnik z wrzątkiem, gdzieś musiał wykipieć. Najbardziej prosto, bezpiecznie, najłatwiej było w boju.

Więc tak, po tej bitwie - wydział polityczny. Nie, żeby tam z pułku. Z dywizji przyjechali. Wieźli jak przestępcę, z wymierzonymi lufami. Skąd mieli wiedzieć, czy na awans wiozą, czy na rozwałkę. Wykonywali rozkaz. Zwyczajni żołnierze.

Nie warto ukrywać, przemknęła myśl: „może wiać?” Ale czuł się niewinnym, też i zasłużonym, więc jakże, po co wiać? Było to głupie, niemrawe, ale odruch zdrowy. W kodeksie wojskowym paragrafy ułożone niby jajka w koszyku. Bo to wiadomo, czy istnieją niewinni?

Sojusznicy mawiali, że niewinni to trudny gatunek, wszystkiego można się po nich spodziewać. Dlatego wszech niewinnych dawno posłali do tury, sami winni zostali. I proszę - jaka siła!

Prawda, w niewinności żadnej siły nie ma.

Drewniana, belkowana, czort wie, kurna chata z wyślizganą podłogą, taką do nóg połamania. Kręty dym uwilgłej machory, gęstszy niż opar nad bagnami. W kącie dowódca pułku z łapami jak pancerfausty. Dalej przy stole politruk, zastępca dowódcy dywizji. Zapachniało sądem i gorzałką. Brakowało dowódców kompanii, batalionu — zginęli, nowi nie zdążyli objąć. Kurz po bitwie nie całkiem jeszcze osiadł.

Politruk — młotkiem przez łeb.

- Gdzie wasz zastępca, poruczniku?

- Zastępca? Znaczy, chorąży politruk? Ostatnio widziałem go przed walką, nim wyszliśmy z okopów. Pewnie zginął, meldowałem.

- Nie zginął on, gołubczyk, nie zginął. Caluteńki łajdak. Zdezerterował wasz zastępca do spraw politycznych.

- Zdezerterował? Jak to, zdezerterował?

- Tak to. Na tyłach Frontu go łapli jako dywersanta. To on, że nie dywersant, oficer z polskiej dywizji. Kiedy przyszedł meldunek, dowódca się wściekł. Dla nas wsio ryba, kiedy ryb nie staje.

- W Mierei po bitwie, obywatelu majorze, pływa ryb jak śmiecia.

- Z tych ryb, gołubczyk, uchy nie uwarzysz. Nie odróżnisz, która zatruta, która poległa.

Nam nie o takie rybki chodzi. Jest rozkaz, żeby pluton był twój. Tak i przygotuj dziesiątkę strzelców. Nim rosa opadnie, ma być po wszystkim.

- Tak co my go, rozstrzelamy? Musi być sąd, obrona...

Politrak zgrzytnął zębami, jakby naprawdę były hartowane. Dołożył kułakiem po rozchwiejnym stole.

- Nie sądu potrzeba, gołąbku, wyroku potrzeba. Taż my nie takich ludzi bronić mamy, nasze zadanie bronić się przed takimi jak on. Swołocz szybkoconoga, patrzaj go, dokąd zaleciał!

- Ale tak, po prostu rozstrzelać?

- Iluś ludzi stracił w boju? Liczyłeś, poruczniku?

- Liczyłem. Wszystkich kolejno w pałatki owijałem. Teraz będę listy pisał, jak rodzina za nami. Jak przed nami, nie będę pisał.

- Co napiszesz?

- No, że na polu chwały, że bohatersko, za ojczyznę...

- Ludową, poruczniku!

- Może być, że ludową. Oni nie odróżniają, obywatelu majorze. Padli za taką, jaka będzie.

(...)

(...) Pierwsza Wielka Wojna niczego nie nauczyła. Gdyby nauczyła, nie byłoby Drugiej, o wiele straszniejszej. Szaleństwo w zadufaniu, potęga w pysze, niemoralność moralności - taki był posiew śmierci. Przede wszystkim zaś to, co kojarzono jedynie ze szczęściem — ideologia marzeń, najpiękniej śmiertelna.

Nieprawda, że religia stanowi opium dla narodów. Narkotykiem, szalejem są marzenia bez granic.

W nostalgii zakaźnych marzeń kończył się wiek dziewiętnasty, notowany w sztambuchach jako wiek zbliżony do raj. W tym rajskim wieku nie czyniono bilansu przelanej krwi. Krew jak wino mierzono na kielichy, nie na hektolitry. Dziwnie chętnie umierano za niejasne ideały. Największe zainteresowanie budziły nowe tańce i tajne wynalazki. Od tego także szła śmierć, od tańców i wynalazków.

Wielka Wojna niczego nie nauczyła. Zapominano o niej pośpiesznie, z psim uporem. Tango i boogie-woogie miały lepszą prasę niż rewolucje, agresje, zbiorowe mogiły. Ormianie, Chińczycy, Rosjanie, Polacy — to wieści z księżycy. „Ekscytujące, monsieurs. Ich car był taki sympatyczny. Czyż nasza pożyczka przepadła?”.

Groźnej niedźwiedziej Rosji nie było stać na szafoty, gilotyny, togi. Powrozów produkowano zbyt mało, poza tym bez licencji, mimo francuskiej pożyczki. Zresztą pożyczkę strwoniono wcześniej, pod Mukdenem, Cuszimą. Oraz pod Tannenbergiem. Na aukcjach w Berlinie korzystnie kupowano rodezyjskie diamenty. Twierdze Przemysł i Verdun, następnie wzgórze nad Sommą, zmieniły wojnę w statystykę i buchalterię. Śmierć przechodziła z jakości - w ilość.

Tak jakby nikt nie wiedział, nikt nie przewidywał. Żadnej Kassandry nie było. Jednakże, gdy dziś przegląda się historię, jawnie się okazuje, że nie skrywano niczego. Wrzód wersalski nabrzmiwał, Liga Narodów słabła, nadchodził nowy porządek dla świata, nowy ład, ordnung, sanacje i restauracje, zasłony i bufory. Dziw, że Kassandry nie było. W gazetach nie pisali, że zabito Kassandrę.

Straszliwi budowniczości konstruowali nową Europę — i nowy, lepszy świat. Europa z zapałem uczyła się kochać swoich budowniczych, caudillów, conducatorów, duce i wodzów, naczelników i nauczycieli. Kochała ich za szaleństwo i zadufanie, za pychę i marzenia, których byli hojnymi siewcami. Za marzenia można wszystko kupić.

Europa tańczyła, zajadała eklerki, handlowała, podróżowała - i w nic nie chciała wierzyć. Ani w radykałów, ani klerykałów, ani w komunistów, ani monarchistów. Nie wierzyła i już.

Tańczono swinga, także be-bopa. Bo przecież każda wiara to jakiś obowiązek. Europa nie chciała obowiązków, właśnie się z nich wyzwalała. Nawet wtedy, gdy wiązano jej oczy oraz ręce na plecach, wyzwalała się nadal.

Trudno umierać za Gdańsk, trudno i za Paryż. Naprawdę chodziło o to, aby żyć bez trosk. Tej możliwości nie było, po prostu jej nie dano. Skreślono wiele milionów, w pożyczkach i egzekucjach. Nie tylko zabijano. Przywoływano śmierć. Kolejnym jej, wyższym od ilości stopniem, stawała się metoda.

Holocaust, Shoah — to właśnie już nie ilość, to właśnie metoda. Pozycja Księgi Umarłych. Pamięci innych metod, na przykład Wielkiego Głodu, nie wciągnięto do Księgi. Na Guernikę Racjonalista.pl

zrzucono bomby jedynie w tym celu, by powstało płótno warte wielu mszy.

Pierwsi, których wyznaczono, marli w równych szeregach. Trudno jest kończyć życie w rytmie tanecznej muzyki. W rytmie marsza jakoś to weselej.

(Taki sobie banał: ci, którzy mówią o łatwej albo pięknej śmierci, zawsze mają na myśli śmierć cudzą.)

Nowy czas rodził nowych ludzi. Nowi ludzie stawali się ojcami nowych czasów. Słowa odtąd przestały mieć związek z czynami, ze słów przestano rozliczać. Mowy do tłumów stawały się narkotykiem zwanym propagandą. To też był wynalazek, socjalna margaryna. Jak ongiś margarynę, jakiś czas propagandę rozdawano gratis. Amatorów nie brakło. Bierz, ale przeciwdziałaj. Na czym to miało polegać?

Zaciskali pięści, wołali „no pasaran!” — „nie przejdziecie!” Potem patrzyli milcząc, jak przechodzą. Milczących zganiano niby kury, w izolowanych zonach za drutami. Z dwóch przyczyn tam umierali - od febry i od gniewu.

Faszyzm i bolszewizm nie były powszechnie znane. Wybierano między dżumą i cholera. Europie, jak kobiecie, łatwo było zawrócić w głowie. W salonach królowała francuska lekkość, angielska flegma i niemiecki wąsik. Marokańskie pomarańcze stały się znacznie słodsze.

Beztraska Europa poczyniała lubić przejmujący śpiew junkersów i werble paradnych kompanii. Kolczaste druty zon, betonowe zapory gnuśnych generałów stały się gwarancją dnia powszedniego Europy.

W piwiarniach, kafeteriach, na rautach i balach dyskutowano zalety czołgów nazywanych tankami oraz podwodnych łodzi. Zawierano tajne zakłady nad planem Schlieffena i linią Maginota. Gdy przyszła godzina próby, domorośle strategie okazały się tyleż warte, co narady w generalnych sztabach i gabinetach premierów.

Kochano się w aktorkach, groteskach i burleskach. Lloyd George pogardzał cygarami, ale błyskał dowcipem, bon-mot. „Od dziś jestem proniemiecki” — rzekł, nim wysechł atrament. Dżentelmeni w Monachium, ratujący pokój dla świata, nie mieli pretensji do Lloyd Georga.

Francuska lekkość, powiązana z angielską flegmą — przy niemieckim wąsiku okazała się śmiertelnym bałaganem. Żaden wróżbita nie potrafi dorównać marzeniom bezgranicznym.

Prawda, po latach nietrudno być prorokiem. Powiązać fakty, choćby gazetowe, z Wielką Hekatombą. Takie związki zawsze są czytelne. Poza tym, nie ukrywano zbyt wiele. Na oczy najtrudniej przejrzeć przez mur autorytetów.

Gdy dolar zwyżkował — to znaczyło śmierć wielu. Kiedy spadał to też znaczyło śmierć. Budowano fabrykę nie tylko armat i karabinów - uśmiercano tysiące. Kiedy nie budowano — czyniono podobnie. Podpisano traktat — skazywano miliony. Odmawiano podpisu — wyrok był ten sam. Bo śmierć mogło przynieść wszystko: nieustępliwość i uległość, zwątpienie i wiara — zwłaszcza wtedy, gdy prawdziwa nieustępliwość i wiara wydawały się czymś przesadnym i niehumanitarnym.

Świat miał zawsze punkt odniesienia. Aktualną listę dopuszczonych. Wszystkie światy tworzone według tej metody. Nawet Bóg tak tworzył, w swej wielkiej mądrości.

Nie wpisani na listę sprawiali nieco kłopotów, lecz załatwiono ten problem za pomocą kartotek i towarowych wagonów. Największym wynalazkiem współczesności okazał się drut kolczasty. Jego rola pozostaje wciąż niedoceniona.

Gdy nadeszła pora, marzenia zapłonęły. To były ognie artyleryjskich salw, egzekucyjnych plutonów i całopalnych stosów. Wybrani zrozumieli, że są wybranymi, że muszą na to zasłużyć.

Z ochotą albo bez ochoty, zasługiwali jednakowo. Umierający niekoniecznie odróżnia, czy zabijają go chętnie, czy nie. Ordnung polega na tym, by nie było zacięć. Maszyna ma stać lub pracować. Przy pracy nie może się zacinać.

Europa tańczyła, la danse macabre. Ręce uniesione w górę lub założone na kark nie były niczym strasznym, po prostu figurą w tańcu. „Ratuję honor Francji”. Pojęcie Francji i Europy stosowano wymiennie. Zresztą Europa kończy się tam, gdzie zaczynają się problemy. Tym razem jakiś Danzig zdaje się, jakiś korytarz w głuszy.

(Głównodowodzący ratunkiem w czwartym dniu od objęcia funkcji składał etykietalne wizyty, epatując uśmiechem i lawendą. Szefowi sztabu przerwał meldunek o sytuacji na froncie: „nie dzisiaj, mon cher, jutro.”).

W owym cudacznym czasie głupota i nieszczęście przemawiały głównie po francusku. W żadnym innym języku nie można tak sympatycznie wyłgać się przed odpowiedzialnością.

Straszliwe słowo „blitz” stało się tajnym usprawiedliwieniem Europy. Wyrokiem, uśmiechem diabła. Niby skrzywdzony chłopczyk, pociągając nosem przed mikrofonem, prosiła

o pomoc Wielkiego Kuzyna. „W imię ludzkości” - jakby to mogło coś znaczyć. Wielki Kuzyn był trochę zajęty, wprowadzał własny new deal. Z natury był głuchawy. Doskonale wiedział, ile na tym straci.

Europie prócz oburzenia, zgagi, oraz porcji strachu, co było podobne do obiadu mieszczaucha (dwa dania z deserem) na pikniku w niedzielę — Europie pozostała nadzieja. Jaka dziwna rzecz — ona się spełniła. Nadzieja to najgłupsze, najpiękniejsze słowo, jakie wymyślił człowiek.

W Polsce, czyli na księżycu, wszystko jakoś lżejsze, wszystko bardziej proste. Wódz — spadkobierca wielkości, która go przerastała, chociaż od dawna była już nieprawdą. Plany miał wódz zbyt tajne, by sam ich mógł się domyślić. „Nie oddamy guzika!” Guzik, wiadomo, pozostał, lecz przepadł płaszcz, spodnie — gacie też przepadły. Czy może nie dlatego wracało się w pożyczonych?

Sprawy wątpliwe i sprawy jasne rozstrzygano rozkazem. „Rozkaz rzecz prosta, panowie, wykonanie też nie filozofia”. Kassandrę zapobiegliwie uduszono tuż po narodzeniu. Kassandrę zresztą było ze trzy.

Prawdziwa niepodległość nie musi liczyć się z niczym. Dosyć, gdy liczy na coś. Na wodza, traktaty, na sprawiedliwość dziejową. Sprawdzian: mieć wrogów dookoła. To zostało spełnione. Przez Wilno i przez Lwów, zresztą nie tylko. Na przykład przez pokój ryski, przez wszystko, co w nim pominięto z rozmysłem i zadufaniem. Przez polesko-białoruską nędzę. Przez konopną pamięć o Kostku Wieszateliu. O Berezie, Brześciu, Szczypiornie i Wasilkowie. „Ja was przepraszam, panowie Ukraińcy, ja was bardzo przepraszam”.

Na koniec wsparcie prawie półtora miliona żołnierzy, pięćdziesięciu dywizji wyposażonych w trzy czwarte ilości niemieckich czołgów i samolotów, z kraju, który produkował 40% europejskiej broni — zamieniono bezmyślnie na skrawek ziemi za Olzą i tromtadrackie wrzaski. Zadanie wykonano, przyjaciół nie było. Do panteonu powołano dzielnego księdza Skorupkę, który umarł zwyczajnie, jak tysiące żołnierzy, z prostoduszną odwagą. A kanonik Panaś, który pęk legionowych orderów cisnął pod nogi dawcom, na posadzkę świątyni — inną miał odwagę, nie zwyczajną. Obywatelską. O takiej odwadze strach nawet pamiętać.

Opium palono, opium. Stracono Olzę, stracono i resztę. Pozostały szlify na generalskich pagonach. Szlifów nie stracono.

To było trudne zadanie, od Locarno po Zaleszczyki. Od ambasadorskich fraków po koneksje z pastuchami. Dla pastuchów wieziono błyskotki.

W zakurzonych limuzynach, na wyżebranych kroplach benzyny jechały paw i papuga w generalskich mundurach. Paw ogon miał wyskubany, papugę zamierzano wypchać, jednak zdechła sama. Generałom przestano salutować.

Długo, w konwulsjach umierała polska niepodległość.

„Rozkaz ze sztabu naczelnego wodza!” — tak ryczał wachmistrz nocą na przeprawie, szalenie z błędnymi oczami, nieuczony myślenia. Porucznik Wiewiórski, Wiewiór z niezaleconą twarzą, bez namysłu strzelił mu w brzuch. Dzięki temu właśnie, lekceważąc wodza, miał czym rozwalić atakujące pancerniki, w tym trzy lekkie czołgi. Czeskie, oczywiście. Bo za tę ziemię za Olzą przyszło zapłacić dodatkową krwią, walką przeciw czeskiej broni, która mogła być z nami. Boże, chroń Polaków przed mądrością idiotów, tak jak innych chronisz.

(Te czeskie „suki”, zdobyczne kaemy, były rewelacyjne. Produkowali je pięć lat, po 200 każdego miesiąca).

Potem szli pożyczać utracone gacie. Zgrzebne były, surowe, ale z porządnej stali. Niektórych uwierały, jak tego politruka, rozstrzelanego przez ponurych żołnierzy. Dziesięć karabinów, dwa ślepe naboje. Ani jedno sumienie lżejsze przez to nie było.(...)

(...)Według kronikarzy, pierwsze dni miesiąca lutego w owym brzemienym 45 roku były na Krymie śnieżne, nawet śnieżno — błotne. Kracząca skrzypcowa zadymka toczyła po stepie kłęby burzanu, jak ucięte głowy. Goły był step, wypolerowany do kości. To nie przenośnia, żalobny biały wiatr odsłaniał wiele, naprawdę wiele kości. Gołych, wypolerowanych.

Tylko one zostały po armiach niewiernych i pokoleniach wiernych. Insz Allah. Niewiernych wypędzono, wiernych wywieziono. Zabito wielu, wielu umarło. Po stepie wóczyły się dzieci, może wilczęta, na które polowano. Kości pozostały — wesołe, odczłowieczone.

Na Krym zjechali wujkowie. Wujek Joe, Wujek Sam i Wujek Winnie. Tygrys i Lew, między nimi półślepy, umierający Orzeł. W całej historii świata nie spotkali się nigdy potężniejsi drapieżcy.

Ten rok brzemienny był gwałtem, lekkomyślnie zbiorowym. Czas, który się narodził, nie znalazł rodziców. Kolejno się wyparli. Badania nad ojcostwem trwają do dziś. Bezskutecznie. Każdy biegle wskazuje innego rodzica. I często zmienia zdanie.

Jednak w owym roku gwałt zbiorowy stanowił jedyne wyjście. Alternatywą było kazirodztwo i bratobójcza śmierć.

Kronikarze są zgodni, że potem, już po gwałcie, zaświeciło słońce. Słoneczko czerwone. Zaś Lew, szczęśliwy, powiedział: „Nakarmiliśmy gęś”. Właściwie bał się tej gęsi. Od gęsiego jazgotu bolała go głowa.

Powiedział, rzecz jasna, głupstwo, gdyż nie znał historii. Nie wiedział, że Polacy przestali być gęsiami trochę dawno temu. Zarówno Lew, jak Orzeł, byli słabopiśmienni. Orzeł zapytał kiedyś, gdzie jest, damn, ta Galicja. Ktoś z jego otoczenia oznajmił, że — według jego wiedzy — w Hiszpanii. Orzeł nie mógł pojąć, co ci cholerni Polacy mają do Hiszpanii. Nie dotarło do niego, że Polacy bardzo już dawno temu potrafili rozdawać Niderlandy, nawet królować na Madagaskarze.

Ten trzeci też nie kończył uniwersytetów.

Czas, który nastał, był przedziwnym bękartem. Jak każdego bękarta, nikt nie mógł go polubić — mimo deklaracji, mimo obowiązków. A przecież był, wyrastał. Należało go karmić, ciężko pracować na niego.

Adopcja była trudna, gęś wprawdzie nakarmiona, lecz nie nasycona. Pigułki na czkawkę nazywały się UNRRA. Kurację wzmacniającą opracował nie lekarz, tylko generał, z rangi — sekretarz stanu. Nie on jeden wierzył, że dolar to znacznie więcej niż V-1, B-29 i nawet T-34. Początkowo pamiętano o krwi. Krew szybko przechodzi do legendy, podobnie jak ludzie, których legenda dotyczy. Żyjący ludzie z legendy stawali się dziwactwem, czymś nieprawdopodobnym. Nieprawdopodobnych ludzi wówczas było wielu.

Na szczęście ludzie z legendy umierali wygodnie, bez rozgłosu. Lub odchodzili w cień, gdy zrozumieli. Ordon, po wysadzeniu reduity, żył długo, aż do śmierci. Poezja uprzykrzyła mu życie.

Stawiano na młodzież, gdyż ona nie ma pamięci. „Młodzież przyszłością świata!”. Były pałace młodzieży, złoty młodzieży, młodzieżowe ruchy. I jeszcze... akcje po wsiach...(Cicho!). Też młodzieżowe.

To wówczas ojcowie, jak stare bezzębne psy, poczęli bać się dzieci i szanować je. Wzgarda, okazywana ojcom, nie była bezpodstawna.

Był to czas powszechnego gdybania. „Gdyby się stało inaczej!”. Nad treścią słowa „inaczej” zawzięcie dyskutowano na spotkaniach tajnych albo kanonicznych. Tajność i wieści szeptane weszły już wszystkim w krew. Hasło „cii! idą!” rozumiały nawet psy i niemowlęta.

Niejasność budziła obawę, obawa budziła nostalgię. Dysydentów poznawano po oczach, po nostalgicznym spojrzeniu. Tęsknota w tej nostalgii wyrażała tak wiele, że nikt jej nie pojmował — nawet ci, którzy z niej rozgrzeszali.

Słowniki podawały, iż określenie „tęsknota” winno być dopełnione wskazaniem „do kogo” lub „do czego”. Tęsknota, modna w tamtych latach, miała własne zasady. Zresztą było normą, że wszelakie normy są niepatriotyczne.

Prócz obiegu krwi, obiegu informacji, bywały obiegi drugie. Miłe - na kanapach, przy trzasku zagłuszaczy. Ezoteryczne kółka, ożywione martwymi duchami. Wytrąceni z obiegów masowo skakali przez okna lub wędrowali po świecie, obrażeni na świat. Wewnętrzna emigracja to były placówki w Rzymie, Brukseli. W Nowym Jorku również.

Najmniej wiadomo o trzecim obiegu. Czwartego nie było.

Dysydenci przekorni bezwstydnie nosili pod pachą „Tragedię amerykańską” lub „Chłopca z Salskich Stepów”. W kinach oglądali „Sprawę pilota Maresza”. I radośnie płakali na pięknym filmie „Załoga”. Śmiali się na „Skarbie”.

Działy się wtedy rzeczy, o których nikt nie mówił — mówiono o rzeczach, które się nigdy nie działy. Po śmierci doktora Goebbelsa przestano wierzyć propagandzie.

Wszystkich pogodziła „Deszczowa piosenka” oraz „Świat się śmieje”. Następnie telewizory. Rola telewizorów pozostała ważna.

Czas mierzono zagadkowym, cofającym się kalendarzem, nie według lat, lecz miesięcy. Mówiono o czerwcu, marcu, później o grudniu i sierpniu. Nie stosowano wyjaśnień, nie było takiej potrzeby. Wtajemniczeni wiedzieli. Niewtajemniczonych nie obchodziło to wcale.

Słowa „z woli narodu” stały się politycznym wytrychem. Pasowały do każdego zamka, pasowały jak ulał. Zamki otwierano słowem albo smarowaniem. Ostatecznie talonem. Wreszcie

— kartoteką. Naród patrzył i słuchał. Bo naród był, oczywiście — lecz woli, jak zwykle, nie było.

Pojęcie woli jest cudze, chyba niesłowiańskie. Gdyż po naszymu wola to „hulaj dusza, bracie!”, to takie jakieś chcenie, tęsknota bez obiektu, smutek bez przyczyny. „Wola narodu” to całkiem coś nowego.

Czas niósł wiele nowości. By je pojąć, należało odczekać. I przyzwyczaić się. To nigdy nie nastąpiło. Zresztą — w niewielu dziedzinach.

Weźmy piwo „Żywiec”. I szynkę polską. „Krakus”. Nie tak znów wielu Polaków pijało „Żywiec” zagryzając „Krakusem”. Nikt przecież nie wątpi, że jedno i drugie dużo więcej oznacza niż światową markę. Naprawdę najwyższą jakością nie polska wódka ma, ale polskie nieszczęście. Kordian w stroju Stańczyka samochcąc szedł pod ścianę.

W kilku dziedzinach objawiała się wola, chcenie całego narodu. Cudzoziemcom zawsze się zdawało, że od Bałtyku do Tatr, od Bugu do samej Odry — nie ma żadnego lustra.

Na ulicach jednak więcej było starannie ogolonych. Jeżeli chodzi o mydło, kradziono dwakroć tyle, ile naród zużywał.

Nostalgii rozładowywał znany sportowiec Królak, następnie Kulej, Lubański. Podskakiwali wyłącznie sportowcy, z wielkimi sukcesami. W Wietnamie nie chodziło o zwycięstwa Viet-Congu. O klęski Amerykanów.

Wujowi Samowi wybaczone by gwałt, bodaj bardzo chętnie. Gdyby tylko płacił alimenty. Kuracja generała Marshalla to było o wiele za mało. Została więc odrzucona.

Kodeks rodzinny określa, że alimenty winny zapewnić beneficjentowi życie na takim poziomie, do jakiego przywykł. Polak, gardząc rzeczywistością, przywykł do chceń, do marzeń bez granic. Wuj Sam, gdyby rzetelnie płacił ofiarom wszystkich swoich gwałtów, od dawna byłby bankrutem.

Tych dwu, bardziej jurnych, nie brano pod uwagę. Lwu dawno już zmiękł ogon, Tygrys deklarował, że chodzi o wielką miłość. Gotów był przyjąć gęś do swojej licznej rodziny. Obiecał oduczyć ją gęgania. Obiecał, że gęś nauczy się warczeć.

Wojsko było konieczne, choć niepopularne. Nie tylko dlatego, że wymarli ułani i strzelcy z wyłogami. Że jazłowieckich zastąpili kościuszkowcy, kresowych zaś budziszycy. Albo że orzeł zębata czapkę zgubił. Sprawa była skomplikowana o wiele bardziej, niżeli się zdawało.

W kraju, w którym patriotyzm wyrażał się przez dezercję, ciepły handelek na zapleczu i kult bezradnego wodza — wojsko, nawet zwycięskie, nie budziło szacunku. Było „zbrojnym ramieniem”, „szczerą chęcią” dla tych, którym chęci brakło, w końcu azylem dla gniewnych, rozgniewanych kłótniami. Chociaż, to także niewiele wyjaśnia. Kolejne wojny na świecie wygrywali komuniści.

Wuj Sam był uprzejmy przegrać kilka wojen. Przypląwy w delcie Mekongu, następnie lotnisko w Sajgonie pochłonęły reputację marines i „Fok”, czyli Seals. Wojna Jom Kippur wykazała fachowcom, czym kończy się brak rozpoznania, lekceważenie operacji specjalnych. Kolokwium z Wietnamu, odpytywane w Afganistanie, pozostało niezaliczone. Najbardziej istotne szczegóły wojny falklandzkiej raczej przemilczano.

Pamięć ludzka jest zawodna, ponadto chaotyczna. Lenistwo i konieczność doprowadziły do strasznego wynalazku — kartotek. Kartoteki sprawiły, że ludzie stali się cichsi. Niektórzy pokorni. To pożyteczny wynalazek.

Ogromną rolę spełniły archiwa wywiadu Armii Krajowej, Sonderdienst Nuntia i dokumenty oddziału Fremde Heere Ost. Także komputer „Odra”.

Komputer był wielki jak dom, pamięć miał jak dziecko.

Wszystkiemu winni są idealiści, ludzie, których przepełnia dobroć. Ideał tyle ma wspólnego z idealistami, ile baran z trawą. Co z trawą, wiadomo. W kwestii barana zawsze powstaje spór. Baran przepasiony wart jest pół barana. Mięsa z nadmiarem tłuszczu nikt kupować nie chce.

Sztukę stanowi odróżnienie tego, co jest — od tego, czego by się pragnęło. Na przykład prawdziwej wojny z wirtualnymi stratami. Albo żeby straty były wyłącznie u wroga. Dzięki techno-thrillerom wojna nie różni się wcale od gry w zatopione okręty.

Ojcowie zawsze okłamywali synów. Synowie odpłacają tym samym.

Powołano zespół doradców, nie pracujących w zespole. Izolowano ludzi, myśli i zamiary. Nakazano opracować „alternatywne” systemy finansowania, odśmierdzania finansów. Inny zespół zajął się logistyką, inny prognozowaniem. Osobno rozpatrzono sprawę kadr, niezbędne wyszkolenie. Zespołów było więcej.

Na koniec powołano dowództwo, izolowane od wszelkich tajemnic. Dowództwu rozkazano wydawać rozkazy. Dowództwo wydawało.

Tak powstały jednostki specjalne.

Ceterum censeo, myślenie to czynność męcząca.(...)

(...)- Major Bylica, obywatelu generale. Na rozkaz.

Generał patrzył tak, jakby nie umiał się zdecydować na przychylność lub niechęć. Może przyszło mu do głowy, że spośród jest jeszcze obojętność. Ale między dowódcą dywizji i pułku obojętność jest wykluczona.

- Wy, major, zawsze tak oficjalno. „Tak jest”, „na rozkaz”. Dobrego słowa nie powiecie dowódcy. Ja was nie na rozkaz wzywał, tylko poprosił. A?

- Tak jest, obywatelu generale.

Major czuł, wypadło przygłupio. Jak miał się odezwać? „Poprosił”! Dowódca dywizji nie kolega, choć różny chleb jadal raz, różną też wódkę pili. Jego los w ręku generała, los generała w ręku Boga i tych na górze, tak samo dalekich.

Pomyślał, że mu się udało przebyć długą drogę w ciągu tych paru lat. Niełatwe lata — droga też niełatwa. Bo przecież nikomu nisko się nie kłaniał, nawet śmierci. Jej, wielmożnej, nie warto się kłaniać, śmierć nie uwzględnia ukłonów. Tylko o cenie tej drogi myśleć mu się nie chciało. Rosnąca cena to nie był dobry temat do myślenia.

- Siadajcie, major, wyplujcie tego kija. Pogadać ja chciał, jakoś dotąd czasu nie było. Wacek, szelma - powiedział o adiutancie — załatwiać sprawy polazł. Czort wie, gdzie on chowa tuszonkę i bidonczyk. Siadajcie, siadajcie — no, major.

No, siadł. Czapka tylnym rogiem za cholewę marszczonego buta, żeby wisiała. Daszek za sztywny, róg się nadaje. Bo niby gdzie czapkę kłaść? Na stół? Na podłogę? Wykombinowali.

Generał siorbał kawę z fajansowego kubka. Piękny był kubek, ruski — białoruski, buchnięty na postoj. Kawa też dobra, z prasowanych cukrowanych kostek, wynalazek nowy. O kawie z cudzoziemskich ziarenek albo nie słyszeli, albo zdołali zapomnieć. UNRRA nie trafiała do zwykłego wojska. Zresztą, chyba jeszcze tej UNRRY nie było.

Co w ogóle było? Niczego nie było. Bardak owszem, rozumem nie ogarnąć. Wymieniano towary, poglądy i przywódców. Wszystko wymieniano. Coś za coś. Od wszelkiej władzy mocniejsze były bimber i dolar, na sam koniec kula. Ludzie rozumieli, przeciwni byli politycy, zawsze przeciwni ludziom. W polityce dużą rolę odgrywały konie. Wpierw Kasztanka, później Siwek. Kasztanka była legendą, Siwek był mitem.

Miejsce chorych z urojenia zajęli z urojenia zdrowi.

- Wyście, Bylica, z chłopów, a? Z gospodarki? Gdzie macie rodzinę?

Pytanie padło tak nieoczekiwanie, że major zaniemówił. Gospodarka, rodzina — czy to temat na rozmowę z dowódcą dywizji?

- Rodzice i młodszy brat nie żyją. Bomba we wrześniu zagrodę rozwalila. Został starszy brat i siostra. W czterdziestym trzecim wywieźli ją na roboty. Gospodarka? — wzruszył ramionami.- Będzie z osiem morgów, akurat dla brata. Dla siostry nie starczy. Młodsza.

- Wróciła szczęśliwie?

- Na razie szukam, obywatelu generale. Jak żyje, wróci, tam się już nie strzela.

Generał odsunął kubek, nachmurzył się, nawet cicho palnął pięścią w blat chwiejnego stołu. Stół jakby chciał się uchylić.

- Tam jakoś nie, ale u nas się strzela. Coraz więcej, majorze. Cholera, coraz więcej. O tym też chciał ja pogadać.

- O strzelaniu?

Pytanie zawisło, powierzało w powietrzu. Generał nie zwrócił na nie żadnej uwagi. Tym wzrokiem spode łba ciężko patrzył na majora. Tak patrzył i wtedy, gdy mu rozkazał objąć pułk. Na własną odpowiedzialność, kiedy zguba wisiała nad całą dywizją. Potem bronił nominacji niby kokosz jajek — niełatwo postawił na swoim. Pułku, prawdę mówiąc, nawet na batalion byłoby wtenczas przymało.

- Znaczą, dla was wojsko zostało, Bylica, a? Po prawdzie idzie wam nieźle, perspektywy dobre. Z dowódcy pułku na akademię, nie w stolicy, to w Moskwie. U nas na pewno otworzą akademię, bez tego ani rusz. Potem sztab. Dywizji albo okręgu. Szcebelek po szcebelku, może trzeba będzie wyjąć z plecaka buławę. Ale tak ja myślę sobie - urwał, znów ciche palnięcie pięścią. — Znamy się, major, trochę, nie od dziś, w różnych ja sytuacjach na was patrzył, przyglądał się, myślał. Tak ja pomyślał, że wasza droga do buławy może być ciernista. Nowe porządki idą, majorze Bylica, synu chłop. Nowe porządki, nowi ludzie. Nie wiem, czy do

tych nowości dopasujecie się. Szczególnie do nowych ludzi. Chłopem oni sobie gęby wycierają. Przyjdzie czas, zadki będą sobie wycierać.

Trochę trwało, nim major skinął głową. Nie, żeby się zgadzał. Dawał znać, że rozumie. Naprawdę rozumiał.

- Prócz wojska nie mam nic - odezwał się nieswoim, napiętym głosem. — Nic, o czym by warto pamiętać. Wracać nie mam do czego.

O tym, co usłyszał, sam coraz częściej myślał. Zaczynał, nie kończył. Myślenie było dozwolone, wszystko inne - ryzykowne. Dowódca zwariował, że tak mówi, albo mu nie zależy. Trzy dni temu, ledwie trzy dni, wysłuchali referatu na temat obowiązków oficera. No, żeby donosić. Co prawda, zmilczał jak wszyscy. Mimo wezwania, zmilczał.

- Z tej reformy, Bylica, coś by wam chyba dali. Nie starczyłoby? Może ziemie na zachodzie, może na północy. Ludzie tam potrzebni.

- Nie, obywatelu generale, co to, to nie. Niczego od nowa nie będę zaczynał. Moje miejsce w pułku — twarde oznajmił major i oczy mu zabłyśły. — Życ albo nie żyć, obywatelu generale. Dziękuję za ostrzeżenie.

Byli w dywizji tacy, którzy nie tylko myśleli. Byli milczący, o wrednym zyciorysie. Na froncie się sprawdzili, na zapleczu - nie. Dziwne, nie odmawiali na froncie ani krwi, ani życia, tu odmawiali głupiego podpisu na liście. Podpisu, który o niczym innym, tylko o nich samych decydował. Odmawiali. Jakoś tak źle patrzyli. Kontrrewolucyjnie.

Pamiętać o nich też było ryzykownie. Ryzyko zwyżkowało w cenie.

Major wstał, wyprężył się. Wyglądało na to, że podjął długo odkładaną decyzję, nad którą nie miał dotąd czasu się zastanowić. Być może, dawał do zrozumienia, że decyzja jest mocna, nieodwołalna. Generał zapewne tak właśnie to przyjął.

- Nie koniec rozmowy, majorze. Siadaj.

Chlusnął do kąta resztką kawy z kubka, podniósł się z za stołu. Miał zwyczaj spacerowania, nawet na przednim skraju, zawsze lubił łązić. Na przednim skraju nie on jeden łąził. W dniach natarcia sięć znaczyło spać, spać nie było można.

Spacerując, generał wszedł w światło, jaśniejsze przy oknie, potem znów do półcienia. Kawaleryjskie buty skrzypiały na przemian z podłogą. Twarz generała była skrzywiona, niby przy śledziu niesłonym, podanym bez wódki.

- Demobilizacja — powiedział wolno, skandując, jakby suchara rozgryzał. — Przeformowanie, rozformowanie, bardak wniebowzięty. Siedemnasta na południową granicę poszła, nasza sprzęta koszary po sobie.

Niedawno odgruzowali te koszary, odbudowali - i nie zdołali skończyć, choć pracowali jak przy własnym domu, w którym będzie się mieszkać do śmierci.

Generał, dowódca dywizji, ciekawym był człowiekiem. Jego ojciec, carski ruski oficer, korpusem dowodził u Rennenkampfa. Potem u Hallera był. Sam zaś generał, z polskiego wojska wyrzucony „za komunizowanie”, kiedy Sikorski szedł w odставку, szlifów i zamętu w głowie dorobił się w Krasnej Armii. Szlify solidne były i zamęt nie byle jaki. Adiutant Wacek z pistoletem w garści pilnował, by nikt żywy nie słyszał, co generał gada, kiedy jest pijany.

- Cała armia przeżywa paroksyzm, nowe narodziny. To się nazywa przejście na stopę pokojową. Jest rozkaz, żeby przyśpieszyć demobilizację. Żadnych przyjęć na stan, nawet nasi ranni i chorzy, którzy się zgłoszą po wyleczeniu, kierowani będą do właściwej komendy uzupełnień. Takie komendy są już w każdym powiatowym mieście. Możemy przyjąć tych, których mamy w dywizyjnym szpitalu. Do końca miesiąca. Potem szpital przechodzi do Brzegowa, będzie normalnym cywilnym szpitalem. Lekarze też zdejmują mundury. Z dywizji formuje się pułk zbiorczy na nowym etacie, z nowym dowództwem. Według rozkazu pułk wejdzie w skład wojsk wewnętrznych.

Głos generała stał się szorstki, obcy, pełen niedźwiedziej złości. Co chwilę wruszał ramionami, buty poskrzypywały. Przechodząc obok stołu, uderzał dłonią w leżące na nim papiery. Major siedział i słuchał, jakby nie do niego mówiono.

- Na organizację dano trzy tygodnie, do końca miesiąca — generał jak jeź się nastroszył i zżymnął. - Ale nie moja sprawa, pułk mi nie podlega.

Zatrzymał się, wyciągnął palec.

- Dowódcą wyznaczono was, majorze Bylica. Odgórnie. Wpierw zażądano opinii i charakterystyki z całego okresu służby. Trzy dni temu kazano złożyć wniosek awansowy. Jasne, czy niejasne? Nominacja przyszła dziś. Do roboty zabrać się bez zwłoki. W rozkazie tak

pisze: bez zwłoki.

Major znów się podniósł, wyprostował plecy. Od tej chwili nie pamiętał niczego, co zostało powiedziane przedtem. Także, co nie zostało.

- Odmeldowuję się, obywatelu generale.

- Czekaj. Masz sformować trzy bataliony według nowego etatu, każdy w innym miejscu postoju. Gołe bataliony, na całkiem inną wojnę. Moździerze i kaemy w etacie. Organizacja brygadowa. Pomorska Brygada wojsk wewnętrznych — cztery bataliony liniowe, dwa transportowe, kompania wartownicza. Podlegacie dowództwu brygady, ale dysponentami będą powiatowe urzędy bezpieczeństwa.

- Jak to, obywatelu generale? To kto będzie dowodził? Po co moja nominacja? W systemie brygadowym po diabła potrzebny sztab pułku?

- Zacznij od czytania rozkazu, pytania potem i nie do mnie. Rozkaz czytaj uważnie, major, czytaj bardzo uważnie. Dobrze radzę. Moje zadanie od dziś, zapewnić pomoc przy formowaniu. Każdy oficer i każdy żołnierz, którego wskażecie, przechodzi pod waszą komendę, to samo z wyposażeniem. Jutro przyjedzie zastępca do spraw politycznych, święta niania wasza. Odtąd będziecie jak bracia nierozłączni. Z matki tej samej, ojców różnych.

- Co z wami, obywatelu generale? - zapytał nagle major.

- Co ma być ze mną? — zgrzytnął dowódca. - Śmietnik emerytów. Awans, order i paczka cukierków. Wrogów sam muszę szukać. Zresztą awansów nie będzie.

Roboty z początku było do diabła i trochę. Nie przez tygodnie, przez kilka miesięcy nie spał i nie jadł normalnie. Każdy posiłek, każdy nocleg pod innym dachem. Bataliony powstawały i działały na długo przed powstaniem. Kompanie, plutony, nawet drużyny skwapliwie wykorzystywali ich dysponenci, właściwe urzędy bezpieczeństwa. Dowódcy pracowali, mieszkali w budynkach urzędów. Meldunki nie o wszystkim do pułku składali. Czasem gazety więcej podawały niż meldunki. Generał miał słuszość, strzelano dość dużo.

Major dowodził bezrobotnym sztabem, zapracowanym batalionem transportu, kompanią wartowniczą — i kasynem. Transport i kasyno to były bardzo ważne składniki dowodzenia, od których wiele zależało. To szybko stało się jasne. Dlatego major wolał nie wtrącać się zbytnio w działania batalionów liniowych, ale kolumna transportowa, przede wszystkim zaś skrzynki w piwnicach kasyna podlegały wyłącznie jemu. Nowe, wewnętrzne wojsko, nowe ministerstwo rządzone były według własnych zasad.

Krótki właściwie okres w tej dziwacznej jednostce stanowił jedyną w swoim rodzaju szkołę. Wiele się w niej nauczył.

Po złożeniu meldunku o zakończeniu formowania, po inspekcji surowej tylko w postawie inspektorów, naprawdę zaś żalosnej, szybko dostał awans, wspomniany przez generała. Były dowódca awansu nie dostał. Skreślili mu też zasługi, w cywilnych łachach zawlekli przed sąd. Tam co? Generałów skazywali albo puszczały. Wsadzać, rzadko wsadzali.

Inne wyjście było? Pod sąd lub do lasu, co się kończyło tak samo. Zresztą oni, ze wschodu, i tego wyboru nie mieli.

Nie kochali Kasztanki, nie chcieli wierzyć w Siwka. Wiedzieli, czemu nie można wierzyć. Liczyli: w roku pierwszym rozstrzelano mniej, niż przedtem ginęło w ciągu jednego tygodnia, nawet jednego dnia. Polskie Biuro Podróży z hotelu Rubens posyłało przewodniki, mające być biblią. Znow umierano za słowo, które nadzwyczaj łatwo stawało się ciałem. Martwym ciałem pod ścianą.

Jak by nie liczyć, tych ciał było mniej i mniej.

Podpułkownik dostał dwie blaszki „zaległe” i jedną bieżącą. Za co, tajemnica, nie pytaj o tajemnice. Jak nie wiesz, znaczyś nie zasłużył. Podpułkownik pojmował, że nijakie zasługi by się nie liczyły, nawet aktualne, gdyby nie lojalność i milczenie na zadany temat. Głupio przyznać, ale swoją rolę spełniła także piwniczka ze skrzynkami w kasynie. Nie jedynie piwniczka, wiele złożyło się na to, że lojalność i milczenie tanio go kosztowały. Milczenie było prawdziwe, lojalność domniemana.

Choć nie kierował się tym specjalnie, żaden z podległych oficerów nie pochodził z krajowej konspiracji. Zresztą, nie do końca sam ich dobierał. To raczej on był narażony przez tę wrześnie, sanacyjną armię, w której służył. Co prawda, jako podoficer, lecz jednak - z cenzusem. I jeszcze to było niepokojące, że miał za sobą niejedną pyskówkę z politrukami.

Na froncie jakoś nie było to niepokojące.

Jakimż sposobem Polak może nie pić? Żadnym sposobem nie może. Więcej od Polaków mogą pić tylko Rosjanie. Picie to nie jest historyczny relik, tkwiący w genach narodowych. Tak

wymyślili oszuści i durnie. Po pijanemu wymyślili. Picie jest, owszem, historyczne, jak strach, niepewność jutra. Ze strachu, niepewności jutra zrodziło się picie. W strachu i niepewności trwa.

Bardzo dobrze, że dowodzi kasynem.

Przeskakiwali go wtedy własni oficerowie. Major, dowódca batalionu, nie za wojskową, za policyjną akcją przeciw psom i babom, jako podpułkownik do stolicy przeszedł. Patrząc — wężyka się dorobił. Ale pierwsze odwilżowe wiatry wywiały go, przegnały niewiele lat później. Bóg wie, gdzie się stracił.

Przestała go już gnębić ta stara dwoistość: w boju — na zapleczu. Wojna się skończyła, zaplecze było wszędzie. Strzelany front zmienił się w ideologiczny, całkiem inni nauczyciele wykładali taktykę i strategię. Bo teraz przydzielono im wszystkie „środki wsparcia”, których na szczęście tak mało było na strzelanym froncie. Cóż, oceniono właściwie — strzelany był znacznie prostszy.

Pół-ruski major, Wowka, na etacie zastępcy i półchłopek, kapitan Bajer, oficer Informacji przydzielony do pułku - oto „środki wsparcia”, źródło strachu i niepewności. Wiesz jak wiesz, przydział ma do kozucha, ale kołnierza się trzyma. Do tego półchłopka nie mówiono „obywatelu”, mówiono „towarzyszu”. Do Wowki zwyczajnie. Wowka.

- Uważaj ty na niego — gadał Wowka szeptem na całe kasyno. — On za mało pije, za dużo pamięta. Nikomu dobrze nie życzy, tak i jemu nikt. Zawsze, pałkownik, najgorsze te własne, serdeczne gnidy. On większy komunista, czem towarzysz Stalin.

- Milcz, Wowka, bo źle z tobą będzie.

- Człowiek nie zwierz, do wsiewo przywyknie. U nas i gorsze znajdziesz.

Szybko dograł się Wowka, bo takie czasy były. Życie w przyspieszeniu, przez jeden rok szło się sto lat postarzyć. Po majora Wowkę przybyły „własne gnidy”, te rzeczywiście własne. Musiał ich widzieć z okna, bo gdy go wezwali do pokoju dowódcy, nie przyszedł nawet spojrzeć na niebieskie wyłogi. Sam załatwił problem.

Lejtnant, także Wowka, po prostu znikł bez śladu. Ach, jak go szukali! Kiedy przestano szukać, w trzy dni znaleziono „towarzysza Bajera” na prywatnej kwaterze z czterema kulami. Jedna w czole, dwie w oczach i ostatnia w sercu. Ostatnia była pomyłką, bo serca on nie miał.

Zaraz potem znikła miejscowa kokietka, Wandziula, do której lejtnant Wowka cholewki smalił. Nikt na to uwagi nie zwrócił, ponieważ przez czas jakiś nie było komu zwracać.

Majora Wowkę odprowadzić nawet proboszcz przyszedł.

- No, pułkowniku Bylica - powiedziano mu w wojewódzkim urzędzie z drwiną i współczuciem. - Tak dobrze u was było? Zawsze w porządku? Zastępca polityczny okazuje się, najemnik imperializmu. Sami nie potrafiliście wykryć, choć doświadczenie w pracy politycznej macie. Wódkę toście z nim pili, wroga nie poznali. Musieli pomóc towarzysze radzieccy.

- Do radzieckiego poziomu nie dojdziemy tak szybko — jeszcze się uśmiechał, choć począł rozumieć. Rozumiejąc, począł odczuwać zimno. — Dla towarzysza Lialina kto wie, może Bolesław Bierut ma prawicowe odchylenie, skoro do kościoła i na procesję chodzi.

- Te żarty, Bylica, drogo was mogą kosztować. To jest ideologiczna dywersja. Gdyby połączyć wasze słowa ze zdemaskowaniem zastępcy i zbrodniczym zamachem na kapitana Bajera, można by dowieść istnienia całego spisku.

Podpułkownik wstał, przymrużył oczy. To odczucie zimna miało w nim długo pozostać. Wiedział, tak się stać musiało. Żyć albo nie żyć. Od bardzo dawna obrzydło mu się bać. Powód i tak był nieważny.

- Słuchajcie, młody towarzyszu, raczej gówniarzu. Ideologiczną dywersję wy tu uprawiacie. Robicie wszystko, co możliwe, żeby zrazić ludzi, napełnić strachem wobec nowego ustroju. Strach rodzi nienawiść, pamiętajcie o tym. Jesteście siewcą nienawiści do socjalizmu, właśnie to jest dywersją ideologiczną, najbardziej groźną. Jeżeli tego nie rozumiecie, jesteście nie tylko gówniarzem, także durniem.

Nie, nigdy nie żałował, że właśnie tak powiedział.

Zabrano mu pistolet, pas, kilka innych rzeczy. Bluzę z odznaczeniami, które przestały znaczyć. Gorzej, że buty wysokie zabrali, oficerki, w których miał tylko onuce. Tak go poprowadzili, w spodniach i koszuli, w pepegach na boscie nogi. Akurat była zima, sybirska tego roku. Wtedy rozstrzygnął problem, czy major Wowka był tchórzem, czy może odwrotnie.

Celą była komórka w zdziczałej piwnicy, metalowe drzwi, judaszyk, żarówka żółta niby oko tygrysa. Powieka z warstwy brudu. Okno zamurowane. Trzy metry na cztery. Niemało. W

jednym kącie pęk gnijącej słomy, w drugim blaszany kibel. Zapach gówna i śmierci. Ten sam, jednakowy.

Pchnięto go tak, że upadł w tę gnijącą słomę, w zapierający zaduch moczu, krwi i czegoś jeszcze. Od razu wyczuł, że ktoś tam leży, oddycha, jakby na harmonijce grał. To było bez sensu, ale się przeraził.

Długo trwało, nim zaczął coś rozróżniać. Oczy z trudem przywykały do mokrej pleśni półmroku.

Słychać było monotonną psykliwą melodię rur wodociągowych, nierównomierne oddechy. Sporo wody spłynęło po ścianach, nim się nauczył oddechy odróżniać. Płytki, zajęczy oddech świeżo złapanego i gospodarski, rozważny siedzącego dłużej. Ale tam, wtedy, ten drugi oddech był jak orkiestra, całe płuca grały. Nie strach — straszność można by pomacać.

Twarz obok zdawała się znajoma, nie od razu to sobie uprzytomnił. Zresztą była zmieniona. Sina, spuchnięta, w przebarwionych strupach. Czarne murzyńskie wargi, rozepchnięte zbyt grubym językiem. Blizna od czoła do brody, wciąż jak niewygojona. Nikt inny nie mógł mieć takiej blizny.

- Wiewiórski — powiedział cicho. — Porucznik Wiewiór.

Zamknięte oczy poruszyły się kilka razy, lecz nie otworzyły. Po twarzy jakby cień przypomnienia przemknął, może bólu.

- Jeżeli już, to kapitan - wychrypiął głos. — Ktoś ty?

Odpowiedział tak, jakby nagle czas się cofnął na powrót ku przeprawie, ku nadburzańskim bitwom szaleństwa i nadziei. Jakby ożyła wybita przez czołgowe kaemy kompania.

- Kapral z cenzusem Bylica.

- Bylica?

- Obaj wyszliśmy cało, jak dobijali rannych. Leżeliśmy w rowie, zabity koń nas przyduślił. Jeszcze doszedł Patykiewicz, potem zginął na szosie modlińskiej.

Z wielkiej mgły przyplływały obrazy desperackiej szarży bez szabel, piekło mózdzierzy i karabinów maszynowych, fruwające konie, ludzkie szczątki. Na płocie żołnierz stokrotnie zastrzelony, wciąż drgający jak żywy. „Granaty zbierać, granaty!” Stodoła, rżysko, zagajnik. Boże, jak pachnie ten las. Bezgłośnie szerokie usta i okropna blizna, którą ma znów przed sobą.

Wiewiór zastękał z poświstem, z przyjękiem, jakby te płuca mu zrywano. Usiadł, otworzył zapuchnięte oczy. Długo, długo patrzył. Na twarz współwięźnia, na spodnie, koszulę. Wewnętrzna strona przedramienia pocętkowaną miał dziwnymi czarnymi plamkami.

- Oficer już. No tak. Jaki stopień?

- Podpułkownik. Przynajmniej do dziś rana.

Wiewiór z wysiłkiem zbierał się w sobie. Znać było ten wysiłek, żeby za wszelką cenę utrzymać się w przytomności. Gdy leżał sam, nie musiał tak się zbierać. Gdy był sam, mógł przeklinać i płakać z jednakowym skutkiem.

- U was tam — chrypiął - na wschodzie, szybko gwiazdki dawali, nawet belki. Słyszałem, że jeden politruk i bez wyszkolenia generałem został, teraz wojewodą. Tyś też politruk, Bylica?

Czy człowiek siedzący może się przewrócić? Wyglądało, że może.

- Dowodziłem kompanią, batalionem i pułkiem — odpowiedział, urażony nie tylko posądzeniem. — Cały czas w linii. Nie w dziuplach, jak wy. Nam nie ptaszki nad głowami śpiewały.

- U was — stękał Wiewiór pochryple — dawali awanse i za cudzą krew, u nas tylko za własną. Z porucznika do pułkownika mogłoby nie starczyć.

Zrozumiałe, jaką to cudzą krew miał na myśli. Dlatego podpułkownik milczał. Obaj dobrze wiedzieli, że łatwo mogą powiększyć rachunek tej krwi.

Wiadomo, o awansach Wiewiór dobrze powiedział. Awans w Armii Krajowej trudniej było osiągnąć, niż wbić gwóźdź bez młotka. Powstała więc legenda, że na wschodzie „chęć szczerą” oficerów robiła, w kraju przelana krew. No, wiele prawdy w tym było, chociaż nie do końca. Wrześniowy dowódca kompanii może by potrafił dowodzić batalionem, na więcej nie miał skąd zebrać doświadczenia. Konspiracja nie uczyła dowodzenia w linii. Zresztą, w AK także forowali swoich. Porucznicy latami nosili po dwie gwiazdki, po jednej, na kolejną po trzy lata czekali. Tymczasem „Kalina”, zupak i dureń, z sierżanta majorem został, całe zgrupowanie wygubił.

- Za co — zapytał Wiewiór - za co tu wrzucili?

- Jeszcze nie wiem. Za dywersję ideologiczną. Może powiedzą, że za brak czujności.

Zastrzelono u mnie oficera Informacji.

- Podziemie? Wyrok?
- Gdyby chłopcy z lasu, nie byłoby afery.
- To kto?

- Chcieli aresztować mojego zastępcę do spraw politycznych, ruskiego majora. Porządny chłop, nie dopuścił. Jego pomocnik od razu nogę dał, czekać nie miał na co. Towarzysza z Informacji znaleźli na kwaterze. Trzy kule w głowie, czwarta w sercu.

Wiewiór znów długo milczał, kołysząc się, cicho stękając. Nie wyglądał dobrze, raczej całkiem kiepsko, nawet w tej półciemności.

- Dwa lata temu — wydusił skądś z trzewi — bił mnie osobiście szef radomskiego gestapo, SS-Oberführer Metzger, porządny nazista. Rzeźnik z nazwiska i upodobania. Gorzej mnie załatwił, ale wytrzymałem. Teraz, kiedy biją nasi, w dodatku za to samo, to trudniej wytrzymać. Właśnie dlatego, że biją za to samo. Za to, że nie ma już w co wierzyć.

Powiedział, jakby nie płuca, ale duszę wypluwał. Bo po co potrzebna dusza, skoro nie ma w co wierzyć?

Obsunął się po ścianie, jak przedtem na brzuch. Słoma buchnęła smrodliwą wonią. Koszula na plecach Wiewióra poprzecinana była jak nożycami, w przecięciach siniąło, czerniało posiekane mięso.

- Brzuch — chrypiał - tylko trzcina bili, kopali. Plecy batem i stalowym prętem. Szybciej traci się czucie, ale skutki gorsze. Brzuch za to bardziej boli.

- Za co wsadzili? Z lasu? Ujawniony?

- Oni znają powód i nie mówią prawdy. Ja też wiem, za co i nie powiem. Niech będzie to co mówią. Nie zameldowałem, że moi przyjaciele to zaplute pachołki z Armii Krajowej, nieujawnieni. Bezpieka znalazła ich na liście amnestyjnej z dawnego „Nie”, teraz z WiN.

- Aresztowani?

- Ktoś uprzedził, poszli do lasu. Ja zostałem.

- Dlaczego? Też byłeś w AK, porucznik, prawda?

- W AK porucznik, w ludowym kapitan. Na polecenie reakcji przyczałem się w sztabie, chociaż nie byłem w „Nie” ani WiN. Lasu zawsze się bałem. Od małego. Wilków.

- I wilkołaków, co?

- Tak, wilkołaków najwięcej. I Czarnych Kapturków ze stenami. Tych, co jak aniołki spadali z nieba, żeby wykonać tajne zadanie, którego nigdy nie było.

- Gdzie działałeś? W Warszawie?

- W Warszawie też. W Łodzi, Krakowie, Radomiu. Ktoś mnie sypnął, ale chłopcy odbili z transportu. Długo się kurowałem. Tak, wtedy mi ptaszki śpiewały.

Wywiad albo dywersja. Za wywiad skapo, ale płacił Churchill, za dywersję nie płacił Stalin, płacił naród. Więc broń u nogi. Informacja poszukuje archiwum wywiadu Armii Krajowej. Szaleją, dostają kota. Z tego powodu u nich też kilka łbów poleciało.

- Ciekawe — chrypnął Wiewiór.- Po co im archiwum?

Podpułkownik nie lubił odpowiadać na głupie pytania. Był przekonany, że Wiewiór lepiej zna odpowiedź. Chodziło o listy tajnych współpracowników, konfidentów gestapo i policji. Nie po to, by stawiać ich przed sądami. Nie wyłącznie po to. Jeszcze się nie domyślał, o co naprawdę chodziło.

Przeklęty czas, czas milczenia. Nie można być pewnym nawet siebie samego, samemu sobie ufać nie można. Bo jeśli staną nad tobą z takim skórzanym batem? Z metalowym prętem? Z papierosem?

Zacisnął zęby, oparł się o ścianę, ale tylko na moment. Ściana pokryta była warstwą cienkiego lodu.

Bierność, przerażenie — gorszych rzeczy nie ma. Najcięższe frontowe chwile wydają się szczęśliwe. Bo oto się okazuje, że tam nie było czego się bać. Prawdziwy strach rodzi nienawiść. Nienawiść daje siłę. Czas wygrywa ze strachem, z nienawiścią. Kamień, nożyce, papier. Gramy?

Skazany na współnictwo. Z kim? Z nimi. Był współnikiem, który nie mówi „my”, który mówi „oni”. Nie swoim, „ich” współnikiem został. Narzędziem, cudzą ręką. Nie może zaprzeczyć, świadomą. Jego lojalność miała jednak granice, co właśnie się okazało. Dwie możliwości były — skreślić te granice, lub upaść na samo dno. Powrotu nie przewidziano.

Przecież wiedział o tym, od samego początku. Też możliwości miał dwie — iść z nimi, ratować kraj od morderców, lub czekać, by uczynili to inni. Ci inni byli dalecy, niczego nie obiecywali. Po prostu w nich wierzono. W polskiej polityce wiara znaczy o wiele więcej, niż w jakiegokolwiek religii.

Czekanie na innych oznaczało czas. Czas wymierny był miarą krwi. To nic, od tego jest wojna. Wiara dla wyznawców każdej ceny warta. Osobliwie, kiedy płaci naród. Naród — argument w przetargu. Rodzime chamberlainy będą się miały nieźle nawet po stu latach.

Cóż to się porobiło. Ta realna słuszość przyszła do nas ze wschodu, moralna została na zachodzie. Mimo zdrady i kolaboracji, hańby i ucieczki, mimo zbrodniczych błędów, wciąż jest moralną słuszością. Przed trybunałem historii też można iść w zaparte.

Z lewej chór śpiewa „Okę”, z prawej -"Czerwone maki", niesłychanie podobne do „Pierwszej brygady”. Pomiedzy chórami — wielkie pole śmierci. Dla nie chcących śpiewać. Milczeć też jednak można, byle po którejś stronie.

Osiem miesięcy w śledztwie. Miesiąc w tej zgniłej lodowej norze, potem w stolicy, w dyspozycji Głównego Zarządu Informacji. Tam szło wytrzymać w celach. Przypadło mu nieco mniej, niż dla Wiewióra. Lecz Wiewiór siedział dłużej.

Na rozprawie wszystko im przymierzali, jak w sklepie z wyprzedają, gdzie ciuchy nie na miarę ubierają, na oko. Z śmiertelną powagą nieznaną nikomu retoryki, wymagającej specjalnych uniwersytetów. Ich zaś prostackie, wojskowe natury — nie pojmowały ogromu swoich zbrodni. Zarzuty właśnie im tak pasowały, jak ciuchy na wyprzedają. Ale jakoś weszły.

Spotkali się znów w Rawiczu, tam wszyscy się spotykali. Prócz tych, którzy po prostu spotkali swój los. To później się okazywało.

Cela trzydzieści osób, pryczy dwadzieścia. Wojskowi, cywile. Prości, połamani, milczący i spadli z księżycy. Kilku szczególnych, w feldgrau i feldgrün. Hauptmanny, sturmführery. Kameraden, koledzy spod celi.

Wyglądali nieźle, raczej na zadowolonych.

- Żeby się uwolnić od tych kameraden, musieliśmy krwawić przez prawie sześć lat. Kiedy uwolnimy się od towarzyszy?

Wiewiór zamachał rękami, nawet się roześmiał.

- Spójrz na wschodzące słończko, dziś akurat czerwone. Odpowiedź na twoje pytanie będzie aktualna za pięćdziesiąt lat. Może nawet za sto.

Zbysław Śmigielski

Powieściopisarz, nowelista, aforysta, najrzadziej poeta. Laureat konkursów i nagród literackich. Uznany za marynistę. Był kapitanem jachtowym, instruktorem żeglarstwa, nieco powłóczył się po morzach, co ma wpływ na twórczość. Zajmuje się propagowaniem spraw morza na spotkaniach autorskich, szczególnie z młodzieżą. Interesują go także inne sprawy: historia współczesna, problemy społeczne, konflikty moralne - to, czym żyjemy na codzień. Ostatnia książka: [Sarmaty i scyty](#) (2007)

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 10-02-2007)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5262) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,5262>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane

w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl